- Nie dokończę obiadu, muszę już iść – mężczyzna odsunął niedojedzoną zupę i szybko wstał od stołu. - Tym razem nie mogę się spóźnić.
– Siadaj, zjedz do końca – namawiała go niska, otyła kobieta ubrana w domowy, nieco przybrudzony fartuch.
– Nie! Nie mogę się spóźnić – mężczyzna szybko podszedł do drzwi i sięgnął po marynarkę. - Przecież wiesz jak bardzo potrzebujemy jego pomocy – ręką wskazał gromadkę umorusanych dzieci. – Bez niego zdechniemy z głodu. Nie mogę go zawieść.
– Zawieść! Jak możesz go teraz zawieść?! Przecież on już nie żyje. Daj spokój. Masz kancelarię prawną, dasz sobie radę.
– Żartujesz, te dwa krzesła i biurko! Gdyby nie jego zlecenia nie mielibyśmy, co do gara wrzucić! To prawda, że Prezes, jakby to ująć, raczył odejść, lecz nie ma to w praktyce żadnego znaczenia.
Nie czekając na odpowiedź zdziwionej żony, wybiegł z mieszkania. Pędem zbiegł po schodach, omijając starszą kobietę, która powoli, mozolnie pokonywała kolejne stopnie. Pchnął z impetem drzwi i wypadł na ulicę. Zupełnie nie zwracając uwagi na przechodniów. Młody, wysoki mężczyzna pędził, co tchu przed siebie. Ubrany w dwa numery za mały, czarny garnitur zdecydowanie odróżniał się od otaczającego go tłumu. Za krótkie nogawki oraz rękawy kończące się na wysokości nadgarstków, powodowały, że wyglądał dość komicznie. Na głowie miał staroświecki melonik, a pod pachą ściskał skórzaną, brązową teczkę. Co chwilę, nerwowo upewniał się czy przypadkiem jeszcze jej nie zgubił. Wyraźnie, zawierała jakieś ważne dokumenty, które musiały być dla niego, w tej chwili, bezcenne. Nie zważając na uliczny ruch i trąbiące auta, przebiegł w poprzek jezdni. Następnie pokonał niewielki skwer i dotarł do ciągnącego się wzdłuż ulicy muru, otaczającego apartamentowiec. Gdy usłyszał wyjeżdżającą z podwórka karetkę, dosłownie rzucił się w kierunku bramy. Kierowca, widząc postać zabiegającą mu drogę, w ostatniej chwili ostro zahamował.
– Życie ci nie miłe! Człowieku, gdzie się pchasz pod koła?!
– Proszę się zatrzymać!
– Z drogi! Nie widzisz?!Wiozę chorego!
– Dokąd go wieziecie?
– A co cię to obchodzi?
– On musi jechać do św. Patryka.
– On nic nie musi!
– Nie pozwolę! Nie pozwolę! Reprezentuję chorego! Zgodnie z jego wolą musicie zawieść go do św. Patryka!- jakby na potwierdzenie tego uniósł do góry skórzaną teczkę.
– Wariat jaki, czy co?
– Nie, to chyba prawnik – skomentował, siedzący obok sanitariusz.
– Cholera! Masz rację - na twarzy kierowcy pojawiło się zakłopotanie. - Z takimi to nigdy nic nie wiadomo. Lepiej wywołam dyspozytora.
– Karateka 202. Powtarzam. Karetka 202. Jean zgłoś się. Odbiór. Karetka 202. Powtarzam...
W eterze coś zatrzeszczało i spoza zakłóceń dobiegł wyraźny głos.
– Dysponent 12 zgłaszam się.
– Jean mamy problem. Właśnie wyjeżdżaliśmy z pacjentem z apartamentowca przy Rue du Rocher, gdy drogę zabiegł nam jakiś wariat i żąda, by zawieźli pacjenta do św. Patryka.
– Chyba jesteście niepoważni, to są przedmieścia Paryża. Karetka potrzebna jest w centrum. Zignorujcie go i jedźcie do Inwalidów.
– To niemożliwe. Facet stoi w bramie. Musiałbym go chyba przejechać. Poza tym – tu kierowca spojrzał na sanitariusza – to jakiś prawnik.

– Prawnik mówisz – głos w radiotelefonie zamilkł na chwilę. Słychać było tylko trzaski. Rozmówca wyraźnie potrzebował czasu, aby się zastanowić. Po chwili ponownie zabrzmiał jego głos.
– Cholera, nasze pogotowie ma z nimi ostatnio same kłopoty. Gnojki węszą tylko jak tu wyłudzić pieniądze. Nie potrzebujemy nowych problemów. Jedźcie tam gdzie chce. Tam też mamy zgłoszenie.
– Dobrze zrozumiałem. Jadę do św. Patryka.
– Nie mogę zrozumieć tych ludzi – zauważył sanitariusz. – po co oni się tak tam pchają. To bardzo dziwne miejsce. Ten szpital już dawno powinien być zamknięty. Widocznie mają dobrych prawników, skoro jeszcze funkcjonuje. W każdym bądź razie, gdybym to ja miał swojego mecenasa, kazałbym mu pilnować, aby mnie tam nie zawieźli.
– Dobrze – krzyknął kierowca – jedziemy do św. Patryka, a teraz zejdź pan z drogi!
– Słysząc to, młody mężczyzna podbiegł do samochodu i wepchnął się do środka.
– Co pan! Tu nie wolno! - zaprotestował sanitariusz.
– Nieważne! Jedźmy!
***
Doktor Paul stał przy oknie i patrzył na zalane deszczem podwórze. Na dole widać było, manewrującą z mozołem, wielką śmieciarkę. Z uwagą przyglądał się zmaganiom kierowcy, który próbował podjechać jak najbliżej pojemników zapewne po to, aby oszczędzić kolegom drogi. Zważywszy na ciasnotę panującą na zastawionym samochodami, niewielkim placyku, manewry były niezwykle trudne. W końcu, za którymś razem, szofer optymalnie ustawił pojazd. Z samochodu wyskoczyły dwie osoby. Podbiegły do pojemników i szybko podczepiły kubeł. Pojemnik powędrował do góry, karmiąc czeluść śmieciarki.
Dziś Paul miał trochę czasu, aby nieco podumać. W takich przypadkach zwykł rozpamiętywać niedaleką z skądinąd przeszłość. Sprawiało mu to wyraźną satysfakcję i było pewnego rodzaju panaceum na zmartwienia. Nie inaczej było i tym razem. Choć uważany był za dobrego lekarza, za każdym razem, gdy przywożono nowego pacjenta, odczuwał niepokój. Zwłaszcza jeżeli musiał zajmować się takim jak, ten.
Spojrzał w jego kierunku. Leżał spokojnie, oplątany wiązką przewodów wystającą z aparatury, która wypełniała niemal całą separatkę. Lekarz popatrzył na wykresy rysowane na monitorach. Upewniwszy się, że wszystko jest w należytym porządku, wrócił do swoich rozmyślań.
Przyszło mu do głowy, że niewiele brakowało, a mógłby, podobnie jak ci ludzie, moknąć na deszczu. Kto wie, czy to nie byłoby jeszcze takie najgorsze. Równie dobrze mógł pójść w ślady ojca pijaka, którego rzadko miał okazję widywać trzeźwego. Jak on, imałby się rożnych, dorywczych prac, by potem przepijać zarobione grosze.
Paul, jako piąte dziecko, poczęte zapewne w jakimś pijackim uniesieniu, był kolejną, niepotrzebną gębą do wykarmienia. Większość dnia spędzał poza domem, ponieważ w jedynym pokoju, którym dysponowała rodzina, matka często przyjmowała swoich klientów. Zwykła wtedy stawać w drzwiach i ze ścierką w ręku wyganiała dzieciaki na dwór. Następnie zamykała okna sutereny i zaciągała zasłony, aby nikt wścibski nie mógł niczego dostrzec. Ojciec pozostawał w mieszkaniu, gdyż zwykle był tak pijany, że nie miał pojęcia, co się wokół niego działo. Zresztą, póki miał pieniądze na wódkę, niewiele go to obchodziło.
Paul, podobnie jak koledzy, rzadko chodził do szkoły. Na tej ulicy nie było to niczym szczególnym. Umorusana smarkateria błąkała się całymi godzinami, psocąc i łobuzując bez umiaru. Często brał udział w bójkach, a nawet w drobnych kradzieżach. Nie wiadomo czym by się to skończyło, gdyby nie pewne z pozoru błahe zdarzenie.
Otóż, pewnego dnia, na ulicę Rue Messier zawitał piękny, luksusowy Bentley. Długa, biała limuzyna wolno i majestatycznie sunęła po bruku. Dostojnie bujając się na nierównościach, podpłynęła do Paula. Stał zdumiony, podziwiając błyszczące w słońcu, srebrne chromowania pojazdu. Samochód stanął tuż po drugiej stronie ulicy. Drzwi kierowcy otworzył młody mężczyzna ubrany w czarny, elegancki mundur szofera. Uśmiechnął się do niego, a następnie pomógł wysiąść eleganckiej kobiecie. Miała na sobie długi,

kremowy płaszcz sięgający niemalże do samych kostek oraz wytworny, obszerny, nieco staromodny kapelusz. Spojrzała dookoła, po czym rzekła do kierowcy.
– Sądzi Pan, że to jest dobry adres?
– To Rue Messier 34 - potwierdził.
– Doprawdy? Może zapytamy tamtego chłopca.
– Zgrabnie stawiając kroki, przeszła przez jezdnię, lecz nie stanęła na chodniku. Drogę przegrodziła jej woda spływająca rynsztokiem. Widząc to szofer, ujął jej drobną dłoń. Przy jego pomocy, z gracją, wykonała dłuższy krok i znalazła się tuż obok Paula. Poprzez ciemne okulary Paul nie mógł dojrzeć dokładnie jej oczu, ale to tym bardziej poruszyło jego wyobraźnię. Wydawało mu się, że jest piękna niczym anioł. Paula dosłownie zatkało.
– Mój drogi, czy wiesz gdzie mieszkają...? – Tu ciepłym, matczynym głosem wymieniła nazwisko, które po upływie tylu lat, zdążyło się zatrzeć w jego pamięci. Niestety, mimo najszczerszych chęci, nie mógł jej wtedy pomóc.
– Nie, nikt tu taki nie mieszka - odpowiedział.
– Szkoda, a ty jak masz na imię? – wyraźnie spodobała jej się jego drobna, umorusana buzia.
– Paul.
– Paul, ładnie. A co ty, Paulu, robisz o tej porze na ulicy?
– Nic. Ot tak, sobie chodzę.
– Nie powinieneś być w szkole?
– Tak, ale nie muszę – odpowiedział dumnie.
– Niedobrze, dzieci w twoim wieku muszą się uczyć. Kim zostaniesz, gdy dorośniesz? Masz, wytrzyj twarz – to powiedziawszy, podała mu swoją haftowaną, pachnącą lawendą chusteczkę. Paul wytarł buzię, po czym oddał ją właścicielce.
– Nie, dziękuję. Zatrzymaj sobie – zobaczywszy ślady brudu - rzekła z uśmiechem. - No cóż, muszę szukać dalej. Wsiadając do samochodu, pomachała do chłopca. Na pożegnanie krzyknęła:
– Pamiętaj, ucz się, a jak będziesz miał dobre stopnie, to cię odwiedzę i zabiorę ze sobą! Mam syna w twoim wieku! Będzie miał się z kim bawić!
Mimo, że pojazd dawno już zniknął za krętem, malec jeszcze długo patrzył w głąb ulicy. Następnie dokładnie obejrzał chusteczkę i ostrożne włożył do kieszeni. Od tej chwili nosił ją zawsze przy sobie. Z biegiem czasu zaczął , ten niewielki przedmiot, traktować niemalże jak talizman. Teraz był już niemal pewien, że zrobi wszyto, by to, co przed chwilą usłyszał, się spełniło.
Swoje postanowienie natychmiast wprowadził w życie. Rano, ku zdziwieniu rodzeństwa, wcześnie wstał i pomaszerował do szkoły.
Jeszcze przez wiele tygodni, codziennie, wybiegał na ulicę, sprawdzając czy za zakrętem nie ujrzy białego samochodu. Mimo, że nigdy już więcej go nie zobaczył, dziecięce marzenie nie wygasło. Z czasem przeistoczyło się w cel dorastającego nastolatka, zawzięcie walczącego o odmianę losu.
Życie nie ułatwiało mu zadania. Koledzy z podwórka niechętnie patrzyli na tego typu poczynania. Odbierali to jako pewien rodzaj zdrady. Kto wie, może niepokoił ich upór, który, nie daj Boże, mógł doprowadzić go do celu.
W szkole także nie było łatwiej. Miał przecież wyznaczoną rolę szkolnego osła, wałkonia, który prędzej czy później wyląduje na dnie. To podbudowywało, co niektórych, słabszych duchem uczniów i sprawiało, że przez chwilę czuli się lepsi.
Mimo problemów powoli odrabiał zaległości. Cały wolny czas poświęcał nauce. Lekcje odrabiał gdzie popadło. Jeżeli nie było miejsca przy stole, to siadał na schodach. Potrącany przez przechodzących sąsiadów, z przejęciem, na kolanie pisał wypracowania.
Jakoś przebrnął podstawówkę, a potem gimnazjum. Trudności pojawiły się w momencie, gdy dostał się do liceum. Niestety, nie był czekającym na odkrycie, niedocenionym geniuszem. Przeciwnie, miał spore

problemy z nauką, zwłaszcza ze zrozumieniem niektórych pojęć i ich zapamiętywaniem. Krótko mówiąc, nie grzeszył zdolnościami.
W końcu jednak udało mu się zdać egzaminy maturalne i postanowił pójść na studia. Nie wybrał, jak większość kolegów, łatwiejszego kierunku. Postanowił zostać lekarzem, uważając, że tylko ten zawód , w przyszłości, przyniesie mu konkretne materialne korzyści i da społecznie wysoką pozycję.
Nie dostawszy się z marszu, musiał podjąć pracę i szukać szczęścia w następnym roku. Takich prób podejmował kilka. W końcu dopiął swego. Niestety, wydawało się, że tym razem przecenił swoje możliwości. Materiału przybywało w zastraszającym tempie, a on tak naprawdę nic z tego nie umiał. Długie, łacińskie nazwy ludzkich narządów były dla niego szczególnym rodzajem materii, która powoli, z trudem torowała sobie drogę do jago pamięci, by nazajutrz szybko, bez jakichkolwiek problemów ulotnić się w niebyt. Również zajęcia praktyczne udowadniały, że w przyszłości praca lekarza nie jest mu pisana. Miał nieodparte wrażenie, że Bóg zadrwił sobie z człowieka, tworząc mu tylko jedną parę ułomnych rąk.
Mimo to, nie poddawał się. Uciekał z domu, by obłożony książkami, godzinami przesiadywać w miejskiej palmiarni. Zwykle siedział w wiklinowym fotelu, ustawionym na platformie widokowej, znajdującej się między gałęziami palm i eukaliptusów. To tam odnajdywał spokój, którego tak brakowało mu w domu. Wydawało mu się, że to miejsce ma jakieś magiczne właściwości, pozytywnie wpływające na jego naukę. Zawieszony wysoko ponad egzotycznymi drzewami, zdawał się być bliżej nieba.
Ludzie rzadko tu zachodzili. Większość wolała siedzieć w kawiarni lub wchodziła na wysoko położony taras, skąd rozpościerał się widok na winne wzgórze i położone u jego stóp miasto. Jednak i on od czasu, do czasu miewał gości. Jednym z nich był starszy pan, z którym szybko nawiązał rozmowę. Okazało się, że jest psychologiem na emeryturze i jak Paul lubi to zaciszne miejsce. Zwykle przychodził w pogodne dni i siadał w swym ulubionym fotelu tyłem do słońca, by, jak mówił, w jego blasku grzać swoje stare, zmęczone kości.
Z czasem spotkania zaczęły być na tyle intensywne, że początkowa znajomość ewoluowała w coś na kształt przyjaźni. Znajomy powoli stawał się powiernikiem jego tajemnic. Jako psycholog z wykształcenia postanowił pomóc mu w jego zmartwieniach. Przyniósł ze sobą testy, na podstawie, których wykazał, że jest inteligentnym, młodym człowiekiem, a jego trudności biorą się z okresu, gdy był jeszcze dzieckiem.
Musisz się zmotywować. Uwierzyć w siebie" - powtarzał. - „ Masz pewne problemy z pamięcią, ale ją można ćwiczyć". W tym celu dał mu specjalny, komputerowy program służący do treningu umysłu. Od tego momentu zmartwienia Paula zaczęły powoli znikać.
Dzięki regularnemu korzystaniu z płyty, spostrzegł, że od pewnego czasu nie ma już kłopotów z przyswajaniem materiału. Bez względu na to, jak bardzo był zmęczony, wiedza sama pchała mu się do głowy. W końcu zaczął coraz rzadziej zaglądać do notatek. Wystarczało mu, to co słuchał na wykładach. Również zajęcia w laboratoriach stały się dla niego prawdziwą przyjemnością. Zmotywowany zaczął powoli wierzyć w to, że również jego ręce zdolne są do działania. W wolnych chwilach, często oglądał mały, srebrny krążek i wtedy zadawał sobie pytanie; jak było to możliwe, że przy pomocy tego małego przedmiotu zrobiłem aż takie postępy?
Z czasem znajomy zaczął rzadziej przychodzić. Wyraźnie podupadł na zdrowiu. Wyglądał tak, jakby ostatnio przybyło mu co najmniej kilka lat. W końcu któregoś dnia przyszedł się pożegnać. Stwierdził, że wyprawy na winne wzgórze coraz bardziej go męczą. Zanim się rozstali, obiecał wspomnieć o nim swojemu dobremu koledze dyrektorowi kliniki im św. Patryka. Uważał, że tak zdolnego, przyszłego lekarza musi koniecznie protegować. Niestety, po tej rozmowie Paul więcej już go nie zobaczył.
Czas mijał i bez jakichkolwiek problemów został studentem trzeciego roku. Wtedy pojawiły się trudności natury finansowej. Pieniądze, jakie uzbierał, powoli topniały, a niewielkie stypendium nie wystarczało na życie. Kiedy już poważnie zaczął myśleć o urlopie dziekańskim do drzwi mieszkania zapukał listonosz. W kopercie znajdowało się zaproszenie na rozmowę z dyrektorem kliniki. Rozmowa była krótka i

rzeczowa. Paul wyszedł z podpisanym kontraktem, który w zamian za udzielone stypendium, zobowiązywał go do podjęcia, tuż po studiach, pracy. Chłopak był w siódmym niebie. Nie dość, że skończyły się jego finansowe problemy, to jeszcze miał gwarancję zatrudnienia i to w tak trudnych dla młodych ludzi czasach.

Brzęczyk gwałtownie przerwał jego rozmyślania. Spojrzał na ekran aparatury. Zauważył zmiany w liniach oscylografu. Doświadczenie podpowiadało mu, że prawdopodobnie za chwilę pacjent odzyska świadomość. Na jego twarzy zagościł grymas niezadowolenia. Chyba był w okolicy jedynym lekarzem, którego nie cieszyły tego rodzaju symptomy. Wiedział, że jeśli to nastąpi, zaczną się niepotrzebne pytania. Nienawidził tego. Musiało potem minąć kilka dni, aby jako tako mógł dojść do siebie. Niestety, po kilku minutach Gilbert przytomnie spoglądał na sufit. Odwrócił głowę i spojrzał na lekarza.
– Gdzie jestem?
– W klinice.
– To znaczy jeszcze tu, czy już tam?
– Gdzie tam? – udał, że nie wie o co chodzi.
– W... krysztale?
– Nie, jest pan jeszcze z nami.
Nagle pacjent uniósł głowę i zażądał:
– Chcę księdza!
– Księdza?
– Tak, chce się wyspowiadać. Chcę, aby przyszedł do mnie ten, z który rozmawiałem tam w biurze!
– Nie ma go w tej chwili … – doktor na moment się zawahał – ale zaraz przybędzie. Wszystko jest już przygotowane – ręką wskazał na urządzenia.
Nagle twarz lekarza zmieniła się nie do poznania. Przez spokojne dotychczas oblicze przebiegł skurcz, wykrzywiając je w jakimś dziwnym, złowrogim grymasie. Oblicze sczerwieniało niczym szyja indora. Nabrzmiałe żyły prawie, że wyszły spod skóry. W jego duszy obudziły się od dawna skrywane emocje, dając upust całej, nagromadzonej goryczy. Tłumiona przez lata, eksplodowała nienawiścią, którą medyk skierował na bogu ducha winnego pacjenta.
– Jakiego księdza?! Tu nie ma żadnego księdza - krzyczał.
– Nie rozumiem.
– Nie rozumiem, nie rozumiem! Pewnie nagadał tobie głupot o duszy, zagrożeniach i takich tam. Zapewne, jak zwykle, zapomniał przy tym wspomnieć, że to właśnie on, on jest dla niej największym! Cha! To prawdziwy łowca. Wielki Łowca!
– Przecież umowa, prawdziwa rewolucja, postęp, druga szansa!
– Na te słowa lekarz zaśmiał się głośno.
– Od tysięcy lat Pan mój stosuje sprawdzone metody, lecz i on musi liczyć się z zagrożeniami - tu uniósł oczy do góry. - Dzięki ludzkiej pomysłowości teraz może pochwycić duszę, nim ta opuści ciało. Postęp mówisz, a jakże, dziś wystarczy podpis złożony długopisem, a nawet elektroniczny – odparł szyderczo.
– Przerażony Gilbert usiłował wstać, lecz lekarz gwałtownie przycisnął go do łóżka, jakby nie wierząc w moc rzemiennych pasów.
W tym samym momencie na dworze zapadł zmrok. Niebo zasnuły granatowe, burzowe chmury. Wiatr przybrał na sile, tak że stojące na podwórzu drzewa, zaczęły uginać się pod jego naporem. Nie był to jednak zwykły wiatr, lecz potężny huragan, który wtargnął niespodziewanie do przyszpitalnego parku. Połamane gałęzie, liście, drobne przedmioty unosiły się w zawrotnym wirze, pędząc w opętańczym tańcu przez parkowe aleje. Zawarta w nim była jakaś ogromna, złowroga siła, próbująca, w szale zniszczyć wszystko co napotkała na swej drodze. Tuman pyłu naparł na niedomknięte okno, które otworzyło się z łoskotem, tłukąc przy tym szyby.

Równie nagle i niespodziewanie wszystko ucichło. Powietrze, cięte nożem, zastygło w jakimś nienaturalnym bezruchu. Nie drgnął nawet najmniejszy liść. Cały świat zamarł w oczekiwaniu na to, co miało za chwilę nastąpić.
Gilbert z przerażeniem popatrzył na okno. Ostatnią rzeczą, jaką zdążył zobaczyć, była delikatna mgiełka, pomału, niespiesznie sącząca się do separatki
W tym samym czasie lekarz, nieco już spokojniejszy, zaczął systematycznie wyłączać część urządzeń odpowiedzialnych za podtrzymanie życia, wprowadzając pacjenta na moment w stan śmierci klinicznej.
– Panie, zrobiłem wszystko, co było w mojej mocy, użyłem całej dostępnej mi wiedzy, aby tym razem ciało nie zawiodło i nim sczeźnie, mogło tobie służyć jeszcze przez wiele miesięcy! - krzyknął w uniesieniu.
***
Dziś stary park wyglądał wyjątkowo ładnie. Po wczorajszej burzy wszystko wydało się takie świeże i niewinne. Szczególnie rześkie było powietrze. Wypełnione wilgocią, pozwalało odetchnąć pełną piersią. Żwirową, błyszczącą od rosy aleją, wolno spacerowały dwie osoby.
Pacjent z zainteresowaniem przyglądał się swoim rękom. Zginał i prostował przedramię. Odwracał dłonie. Przebierał palcami. Wydawało się, że ta czynność pochłania całą jego uwagę. Szedł tak jakiś czas w milczeniu następnie zwrócił się do lekarza.
– Tym razem jest lepiej, o wiele lepiej. Zrobiłeś znaczne postępy. Widzę, że lata nauki nie poszły na marne. Jesteś młodym człowiekiem i jeszcze wiele przed tobą , ale uważam, że już dziś powinieneś zacząć myśleć o swoich następcach. „Nowy Kościół" rozwija się prężnie, zleceń przybywa, a to może spowodować, że za jakiś czas sam nie dasz rady. W tej chwili jesteś w Paryżu jedynym lekarzem, z którego usług korzystamy.
– A studenci.
– O chętnych się nie martw. Już nasza w tym głowa, aby było ich jak najwięcej. Czy mi się wydaje, ale wyglądasz dziś na nieco zdenerwowanego. Nie rozumiem, przecież zabieg się udał?
Nie śpię po nocach, a jeżeli mi się to czasami udaje, to zaraz pojawiają się koszmary. Nie wiem jak długo tak wytrzymam.
– Nie przejmuj się. Dopóki mi służysz, wszyto będzie w porządku. W końcu znam cię od dziecka i chociażby z tego powodu jesteś mi szczególnie bliski. Czy nosisz przy sobie jeszcze tę chustkę, którą ci kiedyś podarowałem?
Tak, mam ją w kieszeni. – Odpowiedział zdziwiony Paul.
Pacjent zatrzymał się na moment i spojrzał na Paula pustym, bezdusznym wzrokiem:
Czyżbym ciebie zaskoczył? Zapewne nigdy nie przyszło ci do głowy, że to ja wtedy stanąłem na twojej drodze. No cóż, minęło już trochę czasu – westchnął. - Miej ją zawsze przy sobie, by nadal przypominała o naszej, jakby to powiedzieć... Dozgonnej przyjaźni.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Bardzki, dodano 28.09.2011 08:56

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.